Ratować euro? Po co i dla kogo?

17 czerwca 2010

Kryzys obala kolejne „pewniki” ekonomiczne i zmienia poglądy słusznych ekspertów. Jeszcze niedawno w Polsce trwała ożywiona debata na temat wejścia naszego kraju do strefy euro, a publicyści, ekonomiści i politycy uważali za stosowne ścigać się w entuzjazmie wobec tej perspektywy. Euro miało nam przynieść same korzyści, a jego przeciwników wyśmiewano jako ekonomicznych ignorantów. Dziś, gdy strefa euro trzeszczy w szwach od kolejnych krachów obligacji państwowych sytuacja zmieniła się nie do poznania. Entuzjaści euro nagle dostrzegli niebezpieczeństwa szybkiego przyjęcia wspólnej waluty, a datę całej operacji odsunięto o kilka lat. Tylko czy do tego czasu euro w ogóle się utrzyma? I za jaką cenę?

Niemal cudem udało się uniknąć katastroficznego scenariusza, który mógł doprowadzić do zniknięcia euro”, wzdryga się wysoki urzędnik europejski pracujący w Brukseli [1]. Prawie 2 lata po wstrząsie spowodowanym przez bankructwo banku Lehman Brothers, Europa, jak również cała planeta finansowa, znów otarła się o najgorsze. Mało brakowało, a w piątek 7 maja mnożące się ataki spekulacyjne na greckie, hiszpańskie i portugalskie długi publiczne zwyrodniałyby w kryzys systemowy. „Wszystkie wskaźniki giełdowe spadały na łeb, na szyję, w wielu krajach nastąpiła zmasowana podwyżka stopy procentowej obligacji państwowych, rynek międzybankowy się prężył… Na nowo występowały te wszystkie objawy, które poprzedziły wybuch kryzysu jesienią 2008 r.”, wyjaśnia Christine Lagarde, francuska minister gospodarki [2].

CZY ŚWIAT SIĘ ZAWALI?

W ciągu następnych dni po tym nowym „czarnym piątku” i zapowiedzi – mówiąc nawiasem bardzo mozolnego – wdrożenia

„europejskiego mechanizmu stabilizacji” opiewającego na sumę 700 mld euro, który pozwoliłby przyjść z pomocą krajom borykającym się z trudnościami budżetowymi, przywódcy europejscy bez przerwy deklarowali wolę ratowania euro. W ten sposób – nie zdając sobie z tego sprawy – zrywali ze swoimi ponad 10-letnimi woluntarystycznymi dyskursami, w których wszelkie wątpliwości dotyczące tego, czy jednolita waluta jest zdatna do życia, traktowali z pogardą, przypisując je wichrzycielskiej robocie eurosceptyków lub małostkowości Amerykanów – w tym takich ekonomistów, jak Milton Friedman i Martin Feldstein – odnoszących się do euro z politowaniem. Teraz lądowanie jest brutalne. „Człowiek zdaje sobie teraz sprawę, że euro stworzono nie zastanawiając się nawet, czy jest to ryzykowne – czy coś mogłoby mu zagrozić. Wylansowanie jednolitej waluty bez stworzenia rządu europejskiego, który zarządzałby lukami występującymi między poszczególnymi krajami strefy euro w sferze konkurencyjności, bilansu płatniczego, różnic demograficznych czy bilansu handlowego było totalnie nieprzemyślane”, przyznaje wysoki urzędnik europejski.

Jednocześnie oświadczenia renomowanych ekonomistów o groźbie zapaści strefy euro do cna udramatyzowały zawirowania na rynkach finansowych. „Grecki kryzys finansowy zagraża przetrwaniu strefy euro. Od tej chwili nie można wykluczyć jej rozpadu”, twierdził Nouriel Roubini, profesor ekonomii na Uniwersytecie Nowojorskim [3]. „Zgodnie z bardzo rozpowszechnionym poglądem należy liczyć się z powstaniem w Europie dwóch stref walutowych”, podsumował ze swojej strony ekonomista Klaus Abberger z monachijskiego Instytutu Badań Gospodarczych (IFO). „Jedna miałaby być zbudowana na mocnej dewizie i obejmowałaby takie kraje, jak Niemcy, Holandia i Austria, a druga dysponowałaby słabszą walutą, która odpowiadałaby potrzebom takich krajów, jak Grecja, Hiszpania, a nawet Włochy.” Francuski ekonomista Jean-Pierre Vespirini uważa, że w obecnym stanie europejska Unia Gospodarcza i Walutowa nie jest zdatna do życia i że „najmniej złym rozwiązaniem niewątpliwie byłoby wyjście Niemiec” ze strefy

euro [4].

EUROPA CHOWA GŁOWĘ W PIASEK

Prawdę mówiąc, nikt nie potrafi przewidzieć, na czym miałaby polegać taka walutowa przebudowa Europy, bo przecież odkąd jednolita waluta przyszła na świat, rozmyślnie utrzymuje się niepewność prawną w sprawie wyjścia jednego czy kilku państw członkowskich z unii walutowej. „Wszyscy o tym mówią, ale nikt nie wie, jak Grecja mogłaby opuścić strefę euro. Nie ma konkretnej procedury. Sam rząd grecki nie ma zielonego pojęcia, jak należałoby zorganizować ponowne wprowadzenie drachmy", przyznaje dyplomata francuski przebywający na placówce w Atenach.

W każdym razie przywódcy europejscy – przynajmniej oficjalnie – twierdzą, że nie ma o czym mówić ani nad czym się zastanawiać. Kryzys grecki mógłby być okazją do sporządzenia bezkompromisowego bilansu 11 lat istnienia unii walutowej i bardzo restrykcyjnej polityki gospodarczej, ale nic z tego – wszelką próbę postawienia euro i Paktu Stabilności pod znakiem zapytania uważa się za zapowiedź apokalipsy. Koniec integracji europejskiej i jednolitego rynku, podwyżka stóp procentowych, bankructwa banków, protekcjonizm i batalie walutowe – oto argumentacja, która ma przekonać, że tylko utrzymanie jednolitej waluty europejskiej może nas zbawić. „Jeśli strefa euro się rozpadnie, zapory handlowe pojawią się w oka mgnieniu", twierdzi Denis MacShane, były brytyjski minister spraw europejskich. „Dlaczego włoscy producenci oliwy z oliwek mieliby zgodzić się, aby ich greccy konkurenci skorzystali z ogromnej przewagi zastępując mocne euro słabą drachmą? Wolny handel nie przetrwa w Europie, jeśli państwa europejskie wrócą do swoich starych walut i do konkurencyjnych dewaluacji." [5]. Dla francuskiego ekonomisty Patricka Artusa kraj, który postanowiłby opuścić strefę euro „natychmiast obumarłby"; przytacza on przykład Hiszpanii, która na rynkach zaciąga pożyczki na 10 lat przy stopie procentowej wynoszącej 3,8%. Twierdzi, że „gdyby Hiszpania powróciła do swojej waluty,

stopa ta podskoczyłaby do 20%.” Były premier francuski Edouard Balladur z poważną miną zapewnia, że „gdyby znikła strefa euro, Europa upadłaby i wyszła z historii” [6].

Cały ten gęsty ostrzał świadczy przede wszystkim o tym, że „jedynie słuszna myśl”, która wzięła górę przy narodzinach euro, nadal ciąży, a nawet powoduje zaślepienie. Nic bowiem nie wskazuje dziś na to, że w interesie Grecji, mającej do wyboru między jednym za drugim złem, nie leży opuszczenie strefy euro. „Narzucenie Grecji przytłaczającej surowości i udawanie, że ona sama da sobie radę w kontekście recesji wewnętrznej, prawdopodobnej spirali deflacyjnej i w najlepszym razie bardzo słabego europejskiego wzrostu gospodarczego to podłożenie bomby z opóźnionym zapłonem, która może bardzo dużo kosztować Europę”, ostrzega francuski ekonomista Michel Aglietta. Jego zdaniem lepiej byłoby uznać „konieczność restrukturyzacji diety greckiej” zamiast zamykać się w tryptyku: „nie ma mowy o default, nie ma mowy o akcji ratunkowej, nie ma mowy o wyjściu z Unii Gospodarczej i Walutowej” [7].

ZACISKANIE PASA W IMIĘ EURO

Po drugie, obrona euro za wszelką cenę służy zaciskaniu pasa światu pracy. To z tego tytułu państwo hiszpańskie postanowiło obniżyć płace pracowników sfery budżetowej o 5% i zamrozić ich wynagrodzenia i emerytury w 2011 r., przy czym na miejsce 10 odchodzących na emeryturę będzie zatrudniało tylko 1 nowego pracownika. Z tego również tytułu rząd portugalski zamroził do 2013 r. płace pracowników sfery budżetowej i potwierdził likwidację 73 tys. stanowisk pracy w tej sferze w ciągu 4 lat. W tym samym czasie, gdy rząd włoski zamierzał pójść w ślady Hiszpanii i Portugalii, francuski prezydent Nicolas Sarkozy zapowiedział, że zamierza wprowadzić do konstytucji zmiany, które pozwoliłyby zmniejszyć deficyty budżetowe. To właśnie w imię obrony euro i Paktu Stabilności Komisja Europejska żąda dla siebie prawa wglądu w budżety krajowe zanim przedłoży się je parlamentom.

W sumie, mimo kryzysu greckiego, przywódcy europejscy odmawiają uznania faktu, że model niemiecki – polegający na kompresji wydatków publicznych oraz ograniczeniu siły nabywczej i popytu wewnętrznego – ani nie trzyma się kupy, ani nie daje się przenieść do pozostałych państw strefy euro. Co gorsza, udają oni, że nie wiedzą, iż faza wzlotu kapitalizmu finansowego i liberalizacji rynków osiągnęła swoje granice. G20 zbiera się w Toronto, aby zachęcić banki do zwrotu części faraońskich sum, które od 2007 r. zmobilizowano spiesząc na ich ratunek, a tymczasem perspektywa regulacji i nowego modelu wzrostu pozostaje nie do przyjęcia dla książąt Wall Street i City.

Instrumentalizacja euro pokazuje ponadto, do jakiego stopnia banki nadal pociągają za sznurki. Aby dobrze to zrozumieć, trzeba powrócić do osławionego czarnego piątku i dni, które go poprzedziły. „Burze, które w ów piątek wstrząsnęły rynkami, rzadko są przypadkowe", wyjaśnia były główny ekonomista jednego z banków francuskich. „To banki i wielkie fundusze inwestycyjne zorganizowały wszystko po cichu. Celem było zmuszenie rządów do reakcji w weekend – chodziło o to, aby uniemożliwiły poważny spadek notowań długu greckiego, ale również hiszpańskiego i portugalskiego, który obciążyłby bilanse banków i uniemożliwił im pożyczanie sobie wzajemnie pieniędzy na rynku międzybankowym." Okazało się, że manewr ten tym bardziej się opłaca, iż nawet Europejski Bank Centralny wyrzekł się jednej ze swoich zasad godząc się na wykupienie publicznych i prywatnych papierów dłużnych zagrożonych krajów strefy euro [8]. Chodziło o to, aby wpuścić na rynek międzybankowy trochę świeżego powietrza, ale wywołało to silne wzburzenie w Niemczech, gdzie istnieją obawy, że może stać się to precedensem oraz przeobrazić instytucję frankfurcką w zbieracza zgniłych wierzytelności i „finansowe wysypisko śmieci" na podobieństwo amerykańskiego Banku Rezerw Federalnych, który od 2008 r. przejął toksyczne aktywa na sumę około 80 mld dolarów. Europejski Bank Centralny i jego prezes Jean-Claude Trichet byli znani z tego, że nieco bardziej

trzymali się statutu i wykazywali się nieco większą niezależnością… „EBC nigdy nie ustąpił politykom, gdy ci żądali obniżki stóp lub chcieli, aby wzrost gospodarczy był ważniejszy od walki z inflacją, ale tym razem ustąpił w obliczu presji banków”, dziwi się osoba z otoczenia Jean-Claude’a Junkera, premiera Luksemburga, który przewodniczy Eurogrupie faktycznie zawiadującej Unią Gospodarczą i Walutową. Należy tu dodać, że na początku maja 47 banków napisało do EBC list, którego kopię dostarczyły one niektórym rządom europejskim i w którym zażądały, aby zgodził się on zastąpić rynek międzybankowy wykupując suwerenne papiery dłużne. Informacja o tym podana przez Financial Times z 8 maja nie zaskoczyła obserwatorów, gdyż od wielu miesięcy banki europejskie apelowały do EBC o zastrzyk płynności na rynku.

Przywódcy europejscy dobrze by zrobili, gdyby zwrócili uwagę na to, co knuje się w trading rooms banków, w których analitycy i traderzy z większą czy mniejszą dyskrecją zarysowują scenariusze rozpadu strefy euro. „Kryzys się nie skończył. Wszyscy pracują nad scenariuszami inwestycji zakładając, że Grecja wyjdzie ze strefy euro, a nawet, że nastąpi koniec tej ostatniej”, przyznaje bankier paryski, którego zdaniem należy przewidywać zawirowania na rynkach. Z całą pewnością euro wcale jeszcze nie uratowano.

Autor: Akram Belkaïd
Tłumaczenie: Zbigniew Marcin Kowalewski
Źródło: Le Monde diplomatique

PRZYPISY

[1] Podobnie jak większość naszych rozmówców, prosił o zachowanie anonimowości.

[2] Les Echos, 11 maja 2010 r. Patrz również artykuł wstępny „Le jour où l’euro a failli mourir”, Le Monde, 18 maja 2010 r.

[3] CNBC, 10 maja 2010 r. Patrz również J.E. Stiglitz, „Peut-on encore sauver l’euro?”, Les Echos, 10 maja 2010 r.

[4] Le Monde Économie, 11 maja 2010 r. Patrz również H. Weber, „Désagrégation, rebond ou statu quo: trois scénarios pour l’euro”, Le Monde, 12 maja 2010 r.

[5] Newsweek (Nowy Jork), 24 maja 2010 r.

[6] Le Monde, 16 maja 2010 r. oraz Le Figaro, 19 maja 2010 r.

[7] M. Aglietta, „La longue crise de l’Europe”, Le Monde, 18 maja 2010 r.

[8] 20 maja EBC zakupił za 16,5 miliarda euro suwerenny i prywatny dług, którego nie chciał rynek międzybankowy.